

# Stanisław Mikke

---

## Archangielsk, Tarakanowo : ostatni rozdział

---

Palestra 42/3-4(483-484), 66-72

---

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

---

---

Stanisław Mikke

# ARCHANGIELSK, TARAKANOWO

## - OSTATNI ROZDZIAŁ

Pociąg zmierza ku Morzu Białemu. Jest północ i widno jak w jasny dzień. Jeszcze godzinę później bez trudu czytam na głos między innymi:

*Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba  
podnoszą z ziemi  
przez uszanowanie dla darów Nieba...*

z miniaturowego tomiku poezji Norwida, który zawsze zabieram do Rosji, począwszy od swego pierwszego turystycznego tam wyjazdu podczas studiów. Pomyślałem, co musieli odczuwać ci Polacy, których tędy wieziono, jeśli przypominali sobie te strofy.

10 lipca rano przyjeżdżamy do Archangielska. W podróży towarzyszy mi Swietłana Fiłonowa – rosyjska dziennikarka znana w Polsce z publikacji na temat Zbrodni Katyńskiej. Oczekuje na nas Konstancja Antonowna Strusiewicz (u której się zatrzymamy) oraz Ludmiła Nikołajewna Popowa. Jest też starszy mężczyzna, którego zobaczymy tylko raz. Wszyscy z organizacji „Sowiest”.

Mam tutaj do wykonania bardzo określone zadania, zlecone mi przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa: podjęcie próby ustalenia, w Archangielsku i okolicach, miejsc, w których zostali pogrzebani Polacy – ofiary sowieckiego terroru. Dotychczas brak bliższych danych. Andrzej Przewoźnik, sekretarz generalny Rady, którego zasługi dla upamiętnienia męczeństwa Polaków na Wschodzie są nie do przecenienia, prosił zatem o zorientowanie się, jakimi materiałami dysponuje organizacja „Sowiest”? Czy jest uzasadnione miejscem pochówków postawienie projektowanego pomnika, poświęconego pamięci zamordowanych i zmarłych Polaków, na Cmentarzu Wołogodzkiem?

Będę też próbował dotrzeć do wsi Tarakanowo. Nie figuruje ona na żadnych dostępnych w Polsce spisach rosyjskich miejscowości. W jej okolicach znajdował się cmentarz podobozu nr 2 obozu NKWD – MWD (MSW) nr 211. Pani Jolanta Adamska zajmująca się w Radzie, z wielkim oddaniem, „sprawami wschodnimi”, przed wyjazdem przekazała mi wszystkie posiadane dane. Według nich na tym cmentarzu spoczywa 29 nieznanymi Polaków, którzy stracili życie najprawdopodobniej w latach 1944–1945.

Pani Konstancja Strusiewicz – rodowita, siedemdziesięciokilkuletnia Polka, która dziś marzy o zamieszkaniu w Polsce, opowiada, że została wywieziona wraz

z rodzicami z okolic Chmielnickiego (dawnego Płoskirowa) w roku 1930. Ojca wkrótce aresztowano. Gdy już było wolno pytać, po 1956 roku, usiłowała dowiedzieć się czegoś o nim. Odpowiadano, że ślad o nim zaginął. A zatem – usiłowali ją przekonywać przedstawicieli władz – na pewno uciekł i przedostał się do Polski. Dopiero w 1991 roku otrzymała oficjalną informację, że ojca po aresztowaniu przewieziono z miejsca zsyłki do Chmielnickiego i tam rozstrzelano.

Ponieważ jest mało czasu, udajemy się niezwłocznie do Administracji Obszaru Archangielskiej. Pani Konstancja jest tam znana. Uprzedza naczelnika wydziału do spraw kontaktów z organizacjami społecznymi o moim przyjeździe. Ów naczelnik, Witalij Nikołajewicz Stiepanow, mężczyzna w średnim wieku, przyjmuje nas życzliwie. W rozmowie uczestniczy inny jeszcze urzędnik, Anatolij Stiepanowicz Głuszczenkow. Obaj mówią, że nikt dotychczas ze strony polskiego konsulatu nie zwracał się o ustalenie, gdzie byli pogrzebani obywatele polscy. Nie widzą żadnych przeszkód, by takie starania podjąć w związku z moim przyjazdem. Natychmiast zwrócą się do miejscowych organów MSW. Dziś, zapewniają, nie robi się już z tych spraw tajemnicy. A Tarakanowo? Głuszczenkow przynosi ze swego gabinetu jakąś grubą książkę – spis wszystkich miejscowości w obszarze archangielskiej. Ustala, że Tarakanowo to odległa kilkadziesiąt kilometrów mała wieś, leżąca kiedyś w rejonie isakogorskim wielkiego Archangielska. Od 1978 r. pozostaje w granicach administracyjnych miasta Nowodwińsk.

Naczelnik Stiepanow mówi w pewnej chwili, że w Polsce zginął podczas wojny brat jego ojca – Iwan Andriejewicz Stiepanow. Czy można, pyta nieśmiało, prosić o ustalenie, gdzie jest jego grób. Rosyjskie władze wojskowe odpowiadają mu, że jest to gdzieś w powiecie mieleckim. Widać, że wspomnienie śmierci krewnego, którego – sądząc po wieku rozmówcy – nie mógł znać, porusza go do głębi. Mówi z trudem, hamując wzruszenie.

Obaj urzędnicy radzą porozmawiać w merostwie. Stiepanow dzwoni do naczelnika do spraw międzynarodowych. Po przejściu placu wchodzimy do wielkiego nowoczesnego gmachu. W obszernym holu, nad schodami, marmurowa mozaika wyobrażająca... oczywiście wodza rewolucji. W niewielkim gabinecie urzęduje Siergiej Aleksandrowicz Namojlik. To już nowa generacja biurokratów. W trzydziestokilkuletnim, dobrze ubranym, o przyjemnej aparycji i nienaganny, może nawet przesadnie wystudiowanych manierach, mężczyźnie, Swietłana Filonowa rozpoznaje niespełnionego dyplomatę. Namojlik mówi kilkoma językami, pyta, w którym będziemy rozmawiać. Zanim usłyszy odpowiedź, proponuje, że mogę mówić po polsku, gdyż bardzo dobrze rozumie ten język. Coś napomknął, że ma białoruskie korzenie no i stąd bierna znajomość naszego języka. Pilnie słucha tego, co mówię. Później wychodzi, aby z kimś się porozumieć. Szybko wraca i prowadzi nas do głównego architekta miasta. Jest nim czterdziestoletni Dimitrij Stanisławowicz Jaskorski. Czarnowłosa mężczyzna o ostrym spojrzeniu. Twarz ma nieruchomą, jak gdyby na zawsze pozbawioną uśmiechu. Nie można z niej nic wyczytać. Wyjaśniam, że poszukuję cmentarza w pobliżu Tarakanowa. Jaskorski znika na chwilę w obszernej pracowni, po kilku minutach przynosi wielkich rozmiarów zwiniętą mapę.

Rozwija ją i pokazuje to miejsce. Pytam, jak tam dojechać. Główny architekt jakby nie słuchał. Jest więcej niż oszczędny w słowach. Zwija mapę, przeprasza, wychodzi. Wraca po jakimś czasie z kserokopią interesującego mnie fragmentu terenu. Mówi, że dojedziemy do Nowodwińska autobusem 144. Trzeba wysiąść na skraju miasta i udać się drogą w stronę Tarakanowa. Cmentarz ma znajdować się w pobliżu jakiegoś złomowiska. Słowa Dimitrija Stanisławowicza zaczynają teraz brzmieć niespodziewanie życzliwie. Na moją prośbę zaznacza ołówkiem całą drogę. Radzi też kupić ogólnodostępne mapy. Kiedy już wychodzimy, dorzuca, że to wyjazd na cały dzień. Żegnám się z nim, zostajemy w pewnym momencie sami. Dziękując za pomoc mówię, że oprócz zadań służbowych, przyjechałem w bardzo osobistej sprawie. Mówię, że kilka dni wcześniej, w kotłásie dotarłem do miejsca pogrzebania kogoś bardzo mi bliskiego. Jaskorski nie spuszcza ze mnie oczu. Patrzy przenikliwie, ale zachowuje się już całkiem inaczej niż w pierwszej chwili. Czuje, że on też chce mi coś powiedzieć. Nie tylko to, że Namojlik – wyczuwa się trudno skrywaną niechęć do tamtego – może tu wiele. Może załatwić u mera samochód. Z samochodami u nich – zapewnia – nie ma żadnego problemu.

– Podkreście tylko, że to państwowa misja. – I dodaje: – Ja bym was sam tam zawiózł, ale akurat mam zepsuty samochód.

Wyczuwam u niego jakieś wahanie. Cóż chce mi ten człowiek przekazać? Przeciąga chwilę pożegnania. Ale w końcu rzuca tylko:

– Przyciśnijcie Namojlika.

Tymczasem podczas ponownej rozmowy naczelnik Namojlik w niezwykle ostrożnych, ale o jednoznacznej wymowie słowach mówi, że do tej pory nikt z polskiej placówki dyplomatycznej w Sankt Petersburgu ani z organizacji „Sowiest” nie zwracał się do władz miejskich Archangielska o ustalenie, gdzie są pochowani Polacy. Władze tutejsze, mówi, wyrażają zgodę na ustawienie pamiątkowego krzyża i tablicy w specjalnej kwaterze na Cmentarzu Wołogodzkiem. Ale to ma być symboliczny, jak to w Rosji się mówi, *memoriał*, nie związany w ogóle z nieznanymi dotychczas miejscami pogrzebania. W kwaterze tej są już takie pomniki – *memoriały* poświęcone żołnierzom Armii Czerwonej poległym w Afganistanie i żołnierzom angielskim, którzy zginęli w latach I i II wojny światowej.

Namojlik wszystko, co mówi, ubiera w dyplomatyczną, pełną zastrzeżeń, retorykę. Zaznacza, że on nikogo o nic nie obwinia, ale jednocześnie wyraźnie daje do zrozumienia, że w tutejszym ośrodku lokalnej władzy panuje co najmniej rozczarowanie, że po początkowo nawiązanych kontaktach z poprzednim konsulem Zdzisławem Nowickim, obecny konsul generalny nie wykazuje żadnego zainteresowania sprawami polskimi. W Archangielsku istnieje zainteresowanie powstaniem polskiego ośrodka kulturalnego. W 1996 r. przyjechał jeden z konsulów, p. Wasilewski, prosząc o ustalenie możliwości zakupu przez stronę polską budynku, w którym powstałby Dom Polski. On, Namojlik, dokonał takiego rozpoznania, władze są gotowe zaoferować różne nieruchomości. Ale polska placówka dyplomatyczna przestała się interesować tutaj cokolwiek. Naczelnik mówi dużo, pali jednego papierosa za drugim, w czym Swietłana Filonowa dzielnie mu sekunduje.

Wreszcie dochodzimy do sprawy samochodu na dzień jutrzejszy. Namojlik obiecuje porozmawiać z merem. Prosi, aby dowiedzieć się o efekt swych starań o godzinie siedemnastej. Przychodzimy o tej porze. Znow te grzecznościowe ozdobniki: *proszu proszczeniija* itp. I po różnych sztucznych przeproszaniach dowiadujemy się, że, *k sozaleniju*, wszystkie samochody na dzień następny zostały rozdysponowane.

Następnego dnia wcześniej rano jedziemy zatem autobusem. Jest Konstancja Strusiewicz, Ludmiła Popowa i oczywiście Swietłana Fiłonowa. Archangielsk jest rozciągniętym na wielkim obszarze miastem. Północna Dźwina płynie tu licznymi odnogami. Malowniczy krajobraz zniszczony wielkowiejską, jednostajną i byle jaką zabudową. Dopytuję się o Tałagi. Był tam obóz, w którym osadzono, po przewiezieniu z Łubianki, kilkunastoletnią córkę Stanisława Mikke, mego stryja zamęczonego w łagrze w Kotłasie. Dowiaduję się, że dziś w tamtej okolicy jest lotnisko.

Po godzinie wysiadamy na pierwszym przystanku w Nowodwińsku. Natychmiast uderza gryzące powietrze. To wylizy z miejscowego Kombinatoru Papierniczego (do niedawna im. Woroszyłowa), spowijające całe miasto cuchnącą mgłą. W oddali widać wielki przemysł. Niezbyt wysokie kominy wyrzucają białe, kremowe i czarne dymy. Tworzą potężne, kłębiaste chmury wiszące nad okolicą. Obraz ekologicznego horroru, jakby wyjęty z kadru filmu Tarkowskiego pt. „Stalker”.

Fiłonowa opanowując kaszel, który zresztą męczy nas wszystkich, mówi:

– Iluż ludzi pomarło, by zbudować fabryki papieru. Zatruto powietrze. Tysiące ludzi, dzieci choruje i umiera... Dla tego papieru, na którym przez dziesiątki lat wypisywano nieprawdopodobne kłamstwa i bzdury.

Idziemy nieutwardzoną drogą pod przerzuconymi rurami, tworzącymi swoiste bramy. Jest złomowisko. I miejski cmentarz. Chodzimy szukając, bez większej nadziei na odnalezienie, śladów kwater z lat czterdziestych.

Napotkani ludzie nie wiedzą nic o chowaniu tutaj ludzi zmarłych w obozie. Zapytani o administrację cmentarza mówią, że takiej nie ma. Jeśli ktoś umiera, rodzina przychodzi, znajduje miejsce, kopie grób. Skutek jest taki, że groby są usytuowane nawet na byłych cmentarnych alejkach.

Znaleźliśmy cmentarz. Prawdopodobne, że gdzieś tu, być może na obrzeżach, chowano zmarłych w obozie, także Polaków.

Zastanawiamy się, czy w tej sytuacji warto jechać do merostwa. Fiłonowa przekonuje, że jest sens, choćby po to, by uświadomić tutejszym urzędnikom, że Polacy interesują się tym miejscem. Udajemy się więc do tego urzędu.

Przyjmuje nas zażywna kobieta. Nie słyszała o żadnym obozie w tej okolicy. Wychodzi z kimś porozumieć się. Rozglądam się po skromnym gabinecie. W bibliotece za szybą trzy pocztówki z podobizną Lenina. Ale na niższej półce leży Biblia. Zaś na biurku urzędniczka ustawiła małą ikonę. Czyżby to, co widzimy, było odzwierciedleniem nie tylko jednostkowych stanów świadomości?

Do pokoju wchodzi około czterdziestoletni szczupły mężczyzna o przyjemnej aparycji. Nazywa się Aleksander Warłygin i jest głównym architektem Nowodwińska. Przeprasza, musi gdzieś jechać z merem, ale zaraz wróci. Prosi, żeby zaczekać na jego

powrót, ma nam bowiem coś ważnego do przekazania. W drzwiach staje jakiś rośli mężczyzna w garniturze, o twardych rysach. Trudno zgadnąć, czy to sam mer, czy też jego kierowca. Warłygin pośpiesznie wychodzi. Wraca nieco zdyszany już po kwadransie. Wyjaśnia, że tkwimy w błędzie sądząc, że znaleźliśmy miejsce chowania ludzi zmarłych w obozie. Przynosi tajną mapę, prosi, by tego momentu nie fotografować. Przyobozowy cmentarz znajdował się gdzie indziej. Pokazuje to miejsce. To prawda, trzeba iść w kierunku wsi Tarakanowo, ale to w dość dużej odległości od cmentarza, na którym byliśmy. Gdy dowiaduje się, że nie mamy samochodu, zabiera nas swoim. Z drogi do Tarakanowa skręcamy w lewo i pieszo idziemy kilkaset metrów. Aleksander Warłygin pokazuje teren 200 na 300 metrów, dziś porośnięty trawą i zielskiem. To właśnie tu znajdował się cmentarz dla zmarłych w obozie. Do 1972 roku – wyjaśnia architekt – pozostawał pod nadzorem organów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Istniał do 1974 r., kiedy to budowano linię elektryczną wysokiego napięcia. Wówczas buldożerami wykarczowano drzewa, którymi zarósł cmentarz. On wie o tym wszystkim nie z racji swojego zawodu, ani też stanowiska, ale dlatego, że mieszkał niedaleko stąd i z kolegami grał w piłkę obok tego miejsca. Dobrze pamięta drewniane paliki z przybitymi deseczkami, na których były uwidocznione tylko numery. Grobów było, jak ocenia, co najmniej kilkadziesiąt.

Już po powrocie do kraju otrzymam, za pośrednictwem pani Strusiewicz, dokumenty z archangielskiego organu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (na pieczęcie figuruje jeszcze – Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich) dotyczące miejsc pochowania na terenie obłasti archangielskiej „represjonowanych polskich obywateli”. Do pisma z 11 sierpnia 1997 r. ppłk. służby wewnętrznej – Dudariew załączył spisy, na których są nazwiska łącznie 36 Polaków oraz odręczne mapki cmentarzy. Z zawartych przy tych spisach danych wynika, że byli to w przeważającej liczbie strzelcy (wg powojennego systemu szeregowcy) i starsi strzelcy. I tak: st. strzelec **Piotr Starka** urodził się w 1923 r., zmarł 8 stycznia 1945 r.; st. strz. **Alfred Nowak** urodz. w 1911 r., zmarł 14 grudnia 1944 r.; st. strz. **Edmund Ziółkowski** urodz. w 1922 r., zmarł 12 grudnia 1944 r. W miejscu, w którym stanąłem, spoczywa trzydziestu, w większości młodych, polskich żołnierzy. Dla swoich bliskich dotychczas są zapewne zaginionymi bez wieści.

Warłygin wyraża zgodę, bym mógł sfilmować, jak pokazuje teren przyobozowego cmentarza. Później rysuje prowizoryczną mapę zaznaczając punkty orientacyjne, słupy sieci elektrycznej. Nie widać w nim żadnych obaw.

W drodze powrotnej dopytuje się, czy interesuję się tylko tym zagadnieniem. Wyjaśniam, w jakich celach tym razem i w poprzednich latach przyjeżdżałem do Rosji. Słucha, nie starając się nawet ukryć, jak głęboko poruszają go sprawy, którymi się zajmuję.

Kiedy żegnamy się, wracam do sprawy przyobozowego cmentarza w pobliżu Tarakanowa. Warłygin wspominał, że teren ten jest przeznaczony pod niską zabudowę, zwłaszcza pod garaże. Wyrażam nadzieję, że jako główny architekt miasta nie wyda zezwolenia na jakąkolwiek inwestycję. On chwilę milczy. Później mówi, aby władze polskie, polski konsulnat pośpieszyły się z oficjalną interwencją.

Bardziej stwierdzam niż pytam, że on przecież nie dopuści tam do żadnej budowy. Architekt chwilę milczy, a potem odpowiada krótko:

– To jest miejsce, na którym powinny stać krzyże. Ale...

Kilka godzin później, po serdecznym pożegnaniu z niezwykle gościnną Konstancją Strusiewicz z Ludmiłą Popową, od której dostajemy pamiątkę z Archangielska – drewnianego „ptaka szczęścia”, wsiadamy do pociągu. Słońce zachodzi w ciężkich, wiszących nisko, chmurach. Na Dźwinie przygotowują do spławiania drewno. Powiązane jedynie na krańcach luźne bale tworzą wielkich i nieregularnych kształtów tratwy.

Pozostawiamy za sobą krajobrazy cywilizacji. Pociąg wjeżdża w gęste mieszane lasy. Miejscami przechodzą w bagna. Ciągną się dziesiątkami kilometrów. Ich obrzeża porastają krzewy iwy z gałęziami i liśćmi przypominającymi wierzbę...

– W Rosji – mówiła Filonowa odrywając wzrok od okna – nikt nie patrzy wstecz. Nawet nie podejmuje trudu analizowania własnej historii. Na przykład rozbiory Polski. Za nasze uznajemy to, co chcemy uznać za swoje. Takie właśnie rozumowanie zaciążyło na mentalności dziesiątek rosyjskich pokoleń. W podręczniku historii, z którego się uczyłam, uzasadniano napaść na Finlandię w 1939 r. tym, że granica ZSRR przebiegała 27 km od Leningradu i tego nie można było dłużej tolerować. I tylko tyle. To wręcz klasyczny przykład myślenia. Niestety, utrzymujący się do dziś. Zarówno wśród naszych elit, jak i w społeczeństwie.

Nie odpowiedziałem wówczas, ale przypomniał mi się fragment jednego z Jej tekstów. Pisała: *To jeszcze nie jutro stanie się rzeczą naturalną odczuwanie odpowiedzialności za to, co dzieje się wokół i za nasze współuczestnictwo we wszystkim, co się stało w 1917 roku i wcześniej. Zapewne nieprędko wraz z wiarą, że my, Rosjanie, jesteśmy narodem na tyle utalentowanym, iż co pewien czas odnajdujemy wśród nas Puszkina lub na przykład Czechowa, zrozumiemy, w jaki sposób pojawiają się takie groźne widma jak Lenin? Czy na przykład katyńscy zbrodniarze? Jak to więc jest? Jaka tu występuje miara geniuszu? Oczywiście, nie rozstrzygnięte pozostaje pytanie, co my, spadkobiercy Katynia, zechcemy i potrafimy dziś przejąć: czy krwawe szaleństwo, bezmyślne okrucieństwo przypominające reakcje rozwścieczonego zwierzęcia, czy może nagłe olśnienie na chwilę przed końcem, a nawet już po nim, kiedy wszystko nieoczekiwanie pojawia się w prawdziwym świetle, ale kiedy niczego już nie da się naprawić. Pozostaje zatem przejmująca nadzieja, że ci, którzy przetrwali, postarają się jednak to i owo zmienić...*

Znając te i inne jeszcze Jej słowa pisane i wypowiedane przy różnych okazjach, nie mogłem się oprzeć pewnemu wrażeniu. Że oto oboje, mimo tak bardzo odmiennych doświadczeń, nie tylko rozumiemy się i zgadzamy w wielu sprawach, ale że łączy nas jakby szczególnego rodzaju wspólność. Oparte na faktach zaistniałych przed naszym urodzeniem, a które zaważyły w równie znaczącym stopniu na Jej, jak i moim życiu.

Pociąg oddalał nas od miejsc, gdzie rozegrał się dramat kogoś bardzo mi bliskiego. Jego los był podobny do losów tysięcy Polaków. Do tych tragedii zbliżyłem się tak, jak to jest tylko możliwe po pół wieku.

W 1991 roku rozpoczynając rozdział swego życia, który kończyłem tą podróżą, miałem świadomość, przed jakim zadaniem stoję. Ale wówczas nie sposób było wyobrazić sobie tego wszystkiego, co przyszło przeżyć.

Wyjeżdżając z Charkowa, Miednoje i Katynia za każdym razem powtarzałem sobie: Nigdy więcej. Uwolnić się już od tego ciężaru. Z trudem zbierałem siły po kolejnych pracach ekshumacyjnych, żeby powracać myślami do tamtych chwil i mimo wszystko usiłować opisać to, czego – z czasem przekonywałem się coraz bardziej – nie da się przekazać.

W następnym roku jednak znów wracałem do Rosji lub na Ukrainę. Ponownie schodziłem wraz z innymi do otwartych mogił... Setki, tysiące szczątków skrytobójczo zgładzonych ludzi. Moich rodaków. Była to, istniejąca ponad wszelkimi oporami, potrzeba bycia tam do końca. Do czasu, w którym mogiły zamkną się nad Nimi na zawsze.

Czy udało się choćby zarysować tragedie zarówno pojedynczych ludzi, jak i tą w zbiorowym wymiarze, bo ogarnąć tych dramatów chyba nie sposób. Tak, jak wręcz niemożliwym jest objąć myślami do końca tę zbrodnię. Zbrodnię przekraczającą wszelkie granice. Ujawnioną, przyznaną, ale do dziś w żaden sposób nie osądzoną.